

Most Kierbedzia

Dochodziło południe. Powiesiłem przez plecy chlebak z papugą, zdumiewająco spokojną, i ruszyłem w drogę, pedałując dziarsko. W minutę dojechałem do mostu Kierbedzia, gdyż zygmuntowskiej ostrzał był mizerny. Paliło się gimnazjum Władysława IV. Teraz musiałem przeskoczyć most, co już wiązało się z niemałym ryzykiem. Wrogie baterie wyrzuciły swe działa przed kilku dniami i puszczały chmurę szrapneli, gdy tylko na moście pojawiło się coś godnego uwagi. Szrapnele rozrywały się tuż nad żelazną konstrukcją, odłamki dzwoniły po okratowaniach; kto znajdował się na moście, padał niechybnie ofiarą artyleryjskiej precyzji. Już teraz leżały świeże zwłoki żołnierzy, końskie ścierwa i rozbite wozy, pokłose porannych ostrzeliwań; most oczyszczano dopiero po zmroku, gdy artylerzyści odchodzili na odpoczynek.

Przed mostem zsiadłem z roweru, by przepuścić trzy wozy taborowe; te również jechały do Warszawy. Przy moście, zaraz przy brzegu, leżał koń z rozplatanym grzbietem, jeszcze ciepły i przywalony artyleryjskim jaszczem. Właśnie dopadli go dwaj cywile z nożami, w mgnieniu wyrznęli mu z zadu płat na befsztyki i zaraz wyrwali co sił ze swą krwistą zdobyczą. Trzy wozy wjeżdżały już na most ostrym galopem; taboryci okładali co sił ciężkie szkapy. Te cwałowały ciężko, oszalałe z bólu, tratując po drodze szczątki ludzi i koni. Most dudnił głucho. Gdy tylko rozpaczliwa galopada dotarła do środka mostu, pod łukowate okratowanie, nadleciały pierwsze szrapnele. Rozpędzone perszerony skłębity się nagle, rozrywały uprząż, przewracaly wozy; na jezdnię sypały się worki, pękając i rozsiewając zawartość. Po minucie powróciła cisza; na brzeg praski biegł co sił jedyny ocalały taboryta.

Jerzy Stefan Stawiński, *Młodego warszawiaka zapiski z urodzin*